

Piękna choroba



FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP



KRZYSZTOF MASŁOŃ
„KLĄTWA
SPRZECZNOŚCI”
ZYSK I S-KA 2023

O trzydziestu trzech pisarzach, którzy odcisnęli silne piętno na literaturze polskiej ostatniego stulecia, pisze Krzysztof Masłoń w wydanej właśnie „Klątwie sprzeczności”, kontynuującej prezentację znaczących, a także zapomnianych postaci naszego narodowego piśmiennictwa, której dokonał w wydanych wcześniej książkach: „Od glorii do infamii” (2015) i „W pisarskim czyścisku” (2017). Jak poprzednie, i ta pozycja ukazała się nakładem Wydawnictwa Zysk i S-ka. Pierwodruk

wszystkich tekstów składających się na ten bardzo osobisty obraz XX-wiecznej literatury miał miejsce na łamach „Do Rzeczy” i „Historii Do Rzeczy”

Profesor Stefan Grajek, kardiolog, skądinąd autor „W poszukiwaniu utraconego smaku”, skonstruował: „»Klątwa sprzeczności« to bolesne rozdarcie między wyborami etycznymi powikłanego życia a jakością artystyczną literackiego dzieła, między prawością a konformizmem, między zasadą a wyjątkowością. Autor nie oszczędza, stara się

zrozumieć, przytacza fakty, które znać trzeba. Jest jak dobry lekarz, daje zapis choroby, ale nie gorszy się ani nie panikuje z powodu stanu pacjenta”.

Przypominamy fragmenty siedmiu szkiców pomieszczonych w książce, informując, że wśród innych bohaterów i antybohaterów sportretowanych przez Krzysztofa Masłonia w „Klątwie sprzeczności” są m.in.: Ernest Bryll, Jan Himilbach, Sławomir Mrożek, Jan Józef Szczepański i Aleksander Wat.



rys. 12 KREDEK/JAN

POZY WITOLDA GOMBROWICZA

Uważał się, bezwarunkowo, za geniusza, a że świat stosunkowo opornie przyjmował to do wiadomości, to jedynie dlatego – jak pisał – „żem pochodził z kraju szczególnie obfitującego w istoty niewyrobione, poślednie, przejściowe, gdzie na nikim żaden kołnierzyk nie leży, gdzie nie tyle Smęt i Dola, ile Niezguła z Niedojdą po polach snują się i jęczą”. Trudno w pisarzu z takiego kraju doszukiwać się geniuszu.

Stało się wszakże, że to właśnie w tym kraju, w upośledzonej ojczyźnie owego pisarza, uznano go za alfę i omegę, krynicę mądrości wszelakiej, a jeśli kto chce, to i za wieżę z kości słoniowej. Nawet ci nieliczni, którzy zachowywali umiar w entuzjazmie wobec tego, co pióro jego wieczne na świat wydało, a i co on sam orzekł albo czego nie orzekł, plackiem padali przed gombrowiczowskością.

Ale czy naprawdę musimy bić pokłony przed „Dziennikiem”? Wojciech Tomczyk, który w swoim pisarstwie zmagął się z Gombrowiczem, i to wielokrotnie, ze szczególnym uwzględnieniem „Ferdydurke”, sławny Gombrowiczowski zapis: „Poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja, czwartek – ja” zderzył z inną znaną „deklaracją ideową” – Edwarda Stachury: „Czas umarł na czas. Ja umarło na ja. Nie ma ja. Się jest. Się jest się. Się jest duch. Się jest nikt” i dopowiedział (w „Teologii Polskiej Co Tydzień” 37/2016), co następuje: „Te dwa cytaty opisują, nawet z pewnym naddatkiem, horyzonty i strategię współczesnej polskiej prozy. Przy tak określonych celach i środkach nie są potrzebne żadne lekarstwa, nawet aspiryna. Nie mówiąc o pigułkach Mur-ti-Binga. Przecież samym sobą można się zabawiać całe życie, a słowem się wysławiać drugie tyle”.

Co do mnie, powiem tu najwyraźniej, jak mogę: za najważniejsze dzienniki w literaturze polskiej zeszłego wieku uważam „Dziennik pisany nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, a w dalszej kolejności „Dzienniki” Marii Dąbrowskiej, wsparte, przy dziesiątkach zastrzeżeń, „Dziennikami” Stefana Kisielewskiego. Gombrowicz jest dla mnie autorem „Trans-Atlantyku” i „Ślubu”. Żał mi kolejnych roczników młodzieży, której bynajmniej nieprzekonani co do racji głoszonych prawd poloniści wmawiają, że mają kochać Gombrowicza i zachwycać się „Ferdydurke”, a jak już się pozachwycają tak, że ze szczęścia womitować będą, niechaj sięgną do „Dzienników”. Tylko z czcią należną, na kolanach. A w życiorys naszego geniusza niech lepiej się nie wczytują, a może inaczej – niech czytają, ale pod kierunkiem światłych przewodników, bo inaczej będzie bieda.

Jego twórczość to jeden wielki ciąg opowieści o zniewoleniu przez sytuację, w których się znajdujemy. I o konwencjach, które zwalczamy, posługując się niczym innym, a konwencjami właśnie. W jego życiu najwięcej było pozerstwa, w książkach jadu. I taki jest jego tytuł do wielkości.

POZDROWIENIE ZOFII KOSSAK

Na emigracji Zofia Kossak przebywała od 1945 do 1957 r. Nie był to dla niej czas łatwy, choć udało się jej połączyć z mężem i synem Witoldem, którzy znaleźli się w Armii Andersa. „Polski Londyn” przywitał za to pisarkę jak najgorzej. Pod artykułem pomieszczonym w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” wydrukowano przypis o tym, że była osobistą sekretarką Bolesława Bieruta. Zofia Kossak nie prostowała tego kłamstwa, ufając, że nikt o zdrowych

zmysłach nie uwierzy w nie. Myliła się. Pomówienie to wracało do niej jak bumerang, zrażając do środowiska emigracyjnego. Ponieważ dzięki zagranicznym edycjom jej książek otrzymała dużą, jak na tamte warunki, sumę pieniędzy, wraz z mężem weszli do spółki, która zakupiła w Kornwalii farmę hodowlaną Trossel Cottage. Sami zamieszkali tam i ciężko pracowali fizycznie. Po latach czytelnikom „Dziennika Polskiego” opowie: „Oporządzałam świnie, mąż doił krowy”. W 1951 r. wspólnicy wycofali się z interesu; Szatkowscy zmuszeni zostali do sprzedaży większej części farmy, gospodarując odtąd na 40 akrach i pracując po 16 godzin dziennie. Z najwyższą trudnością Zofia Kossak znajdowała czas, by pisać artykuły do londyńskiego tygodnika religijno-kulturalnego „Życie” oraz słuchowiska i pogadanki dla Radia Wolna Europa.

W kraju tymczasem z furją zaatakował jej wspomnienia z Auschwitz („Z otchłani”) Tadeusz Borowski, twierdząc, że zafałszowała rzeczywistość obozową, a to dlatego, że za drutami należała do uprzywilejowanej kasty. Po tym, gdy odmówiła zmiany swoich zeznań na temat więźnia Auschwitz, lekarza Władysława Deringa, oskarżonego o współpracę z Niemcami, pozbawiono ją praw obywatelskich. A jej książki, jak za hitlerowskiej okupacji, znów wycofano z księgarń i bibliotek. I pomyśleć, że w październiku 1945 r. Polska Akademia Umiejętności w Krakowie przygotowywała wniosek o wysunięcie kandydatury Zofii Kossak do Literackiej Nagrody Nobla.

Pisarka zachowała głęboki żal do emigracji, niektóre z jej poczynań uważając za głęboko niesłuszne, jak choćby uchwałę Związku Polskich Pisarzy na Obczyźnie zalecającą żyjącym na uchodźstwie ludziom pióra nieogłaszać w krajowych wydawnictwach swoich utworów, dawnych i nowych. Bardzo tęskniła do Polski, ale oburzały ją działania władz komunistycznych, szczególnie represje wobec hierarchów Kościoła i w ogóle ludzi wierzących.

Niemniej po Październiku '56 odliczali już Szatkowscy dni do wyjazdu; jeszcze tylko sprzedali ziemię, inwentarz, pożegnali się z pozostającymi za granicą krewnymi i znajomymi i z radością powrócili do kraju. Gdzie 21 lutego 1957 r. już na początku zetknęli się z murem.



rys. 12 KREDEK/JAN

■ Oto udzielając na lotnisku pierwszego wywiadu dla Polskiego Radia, wzruszona Zofia Kossak zwróciła się do słuchaczy „z tysiącletnim polskim pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Zdanie to zostało wycięte przez cenzurę.

NIEPOKOJE STEFANA KISIELEWSKIEGO

W „Cieniach w pieczarze” z 1971 r., przywołując Borysa Pasternaka, pisał: „Przetrzymał i wygrał, jako że, o paradoksie, czy o logiko, w kolektywizmie wygrać może tylko jednostka, nigdy grupa”. To była druga powieść Kisielewskiego, którą, po „Widzianym z góry”, opublikował w Instytucie Literackim w Paryżu u Jerzego Giedroycia – pod znaczącym pseudonimem Tomasz Staliński. Nawiasem mówiąc, u tego samego redaktora, tyle że w „Buncie Młodych”, debiutował w 1936 r.: recenzjami muzycznymi i artykułami „Terrorizm ideowy”. O książkach, które firmował jako Tomasz Staliński, autor mówił: „Chciałbym komunizm utrwalić, bo przeminie i nikt nie będzie wiedział, co to było!”. Miał rację, dziś wśród mądrzących się na temat tego, czym była PRL, ewidentnie przeważają ci, którzy książek Stalińskiego nie czytali.

A było ich pięć: oprócz już wymienionych „Romans zimowy” (1972), „Śledztwo” (1974) i „Ludzie w akwarium” (1976). Bezpieka dokładała starań, by zidentyfikować autora świetnie znającego kulisy komunistycznej polityki. Podejrzewać można, że w końcu Kisielewskiego namierzono, ale był to już inny czas i pisarz przestał się ukrywać pod pseudonimami. Wydaną w 1982 r. u Giedroycia „Podróż w czasie” podpisał już własnym nazwiskiem, podobnie jak opublikowaną sześć lat wcześniej w Londynie „Przygo-

dę w Warszawie”, swoją drogą drukowaną w odcinkach w „Tygodniku Powszechnym” jeszcze w 1959 r.

Dwa miesiące przed śmiercią powiedział Piotrowi Gabryelowi, niejako podsumowując swoje wieloletnie „wołanie na puszczy” czy „bicie głową w ścianę” (tak tytułował cykle felietonów): „Boję się, że zmarnowałem życie. Z jednej strony moje akcje polityczne przyniosły pewien rezultat, z drugiej – wszystko to stałoby się również beze mnie. Dalej: w swoich książkach opisywałem głównie komunizm i marksistów – to było, według mnie, najciekawsze dziwactwo naszych czasów. Cóż z tego jednak, skoro w tej chwili to nikogo już nie interesuje, zostało zapomniane. A takie typy jak Kliszko, Strzelecki, Gomułka – dla mnie najosobliwsze twory, jakie chodziły pod słońcem – nikogo teraz nie zajmują. Zapomniano o nich i o tym, że miliony ludzi dawały im się robić w konia. Boję się więc, że w czarną dziurę niepamięci wpadnie również moja twórczość, tamtych dziwnych czasów i ludzi dotycząca. Trzecia rzecz, której się boję, to żeby z Polską nie stało się coś niedobrego, ale to już, oczywiście, bez mojego udziału”.

Słowa te przypominają mi jedyną moją dłuższą rozmowę ze Stefanem Kisielewskim z roku 1988. Dotyczyć miała muzyki, a powodem do niej był wyjazd Teatru Wielkiego do Wilna, gdzie z powodzeniem wystawił „Straszny dwór” Moniuszki i „Jadwigę, królową polską” Karpińskiego. Do stolicy jeszcze sowieckiej Litwy zaprosił Kisielewskiego ówczesny dyrektor warszawskiej opery Robert Santowski. Ale wileńskie występy i gorące przyjęcie przez tamtejszych Polaków skwitował jednym słowem: „Wzruszające”, długo i z wyraźnym przejęciem mówił za to o perspektywach dla Litwy, w tamtym czasie już mocno wzburzonej na moskiewskiego okupanta, o Polsce nie zapominając. I też dawał wyraz swoim niepokojom, stawiając duży znak zapytania o przyszłe stosunki Rosji z Niemcami, które zawsze uważał za najważniejsze dla nas. „Tak czy inaczej – sentencjonalnie zakończył naszą rozmowę czy raczej swój monolog – i w tej, i w innych sprawach zawsze skończy się na Niemcach”.

Kiedy rok później upadające władze PRL postanowiły odznaczyć go medalem „Za wojnę obronną 1939”, zwrócił uwagę,

że brał udział w „wojnie polsko-niemieckiej”, a nie żadnej innej.

SPRAWDZIAN BOHDANA CZESZKI

W latach 1965–1980, przez cztery kadencje, był posłem na PRL-owski Sejm. Trochę z tego dworowano. Krzysztof Mętrak w swoim „Dzienniku” zapisał: „Janusz Wilhelmi do Bohdana Czeszki: Będiesz Bodziu posłem w nowej kadencji? – Jak mnie wybiorą. – A kto miałby cię Bodziu wybrać? – Choćby i naród”.

Jego „Pokolenie” – po części za sprawą Andrzeja Wajdy, który je sfilmował – całkowicie niezasłużenie wyniesione zostało na ideowe i artystyczne wyżyny. A rzecz jest trywialna, nachalna propagandowo, momentami ohydna. Jak wtedy, gdy Czeszko tak np. podsumowuje powstanie, w którym w końcu też walczył jako sierżant w AL-owskim batalionie szturmowym „Czwartacy”. Jak czytamy, po kapitulacji powstania przyszłość najbliższa – dla bohaterskich AL-owców z „Pokolenia” – „rysowała się smutno. Przewidywali jesienne szarugi, które towarzyszyć będą głodowi i tułaczce. Wolność przystanęła w marszu. Wiedzieli, że nie ruszy ofensywa, zanim zostanie przygotowana i zanim łódź skuje szerokie wody na Wiśle. »Bór« uściśnął dłoń junkra von dem Bacha. Dwaj arystokraci, dżentelmeńscy oficerowie starej daty, uśmiechnęli się do siebie jak po nocy spędzonej przy grze. Jeden z nich nie miał passy. Do dobrego tonu należało porażkę skwitować uśmiechem. W kancelariach zgrupowań powstańczych wypłacono stojącym w ogonkach żołnierzom po cztery tysiące złotych lub dziesięć dolarów. Piętnaście centów za dzień powstania.

Obliczano, że w Warszawie ćwierć miliona ludzi zostało zabitych. Stacho i Jurek uniknęli twardych doświadczeń, jakie były udziałem tych, którzy przeżyli warszawski exodus.

Starając się jak najciszej zanurzać pióra wioseł, przecinali Wisłę. Gdy osiągnęli drugi brzeg, Jurek obejrzał się. Rzeka, zabarwiona ogniem, płonęła czerwono i groźnie, tak jakby nigdy już nie miała zalśnić utopionymi w niej klingami srebrnego światła latarni, oświetlających spokojne bulwary.

Jurek odwrócił głowę. Przed nimi daleko w mroku płonęło kilka pożarów, wznieconych na polskim brzegu przez



RYŚ. 12 KREDEK/JAN



artylerię niemiecką. Widok ten nie był pośepny. Dla nich były to ognie wolności”.

Naturalnie, wolność tę postrzegali jedynie świadomi komuniści i ich sympatycy. Tacy jak ci, których w powieści Czeszki pouczał niejaki Sekuła:

„– Katyń to było wielkie zagranie tej kulawej małpy – Goebbelsa. Ale czy wiesz, co to dla nas jest Katyń? To jest sprawdzian. Każdego Polaka możesz zapytać, co sądzi o Katyniu, nie dekonspirując go przed nim. Człowieka w tramwaju możesz zapytać. Jeśli powie: »To zrobili Rosjanie« – odejść, masz do czynienia z wrogiem lub idiotą, jeśli powie: »To roboty gestapo«, pogadaj z nim, choćby nie był nam bliski, może zyskasz człowieka, jeśli nie dla Partii, to na pewno dla Frontu Narodowego”.

DEKORACJE JANUSZA GŁOWACKIEGO

Pisarsko pożegnał się z nami wydaną już pośmiertnie, w 2018 r., „Bezsensnością w czasie karnawału”. Pozornie było w niej to wszystko, za co polubili go czytelnicy: osadzenie we współczesnych realiach, celność obserwacji, barwny język, ironia z sarkazmem pospół, dowcip. Że jednak żyjemy w społeczeństwie niesłuchanie rozpolitykowanym, to i Głowa dał się ponieść politycznym emocjom, z fatalnym dla „Bezsensności...” skutkiem.

Wspomnienia Głowackiego są, jak można było się spodziewać, odpowiednio nasycone barwami; zdziwiła mnie wszakże pomieszczona na marginesie tego opisu następująca refleksja: „W dwudziestym pierwszym wieku, mimo że to początek, u nas same wątpliwości. To znaczy to, jak pić denaturat, żeby nie oślepnąć, wie każde dziecko, ale kto spalił kogo w Jedwabnem – Polacy

Żydów czy Żydzi Polaków – to już niekoniecznie, żeby nie wpuszczać uchodźców, bo roznoszą wszystko, co najgorsze, to wiadomo, ale gdzie i jak umarł Mickiewicz, i za co, to już nie”. No cóż, w sławnym poemacie „Moskwa – Pietuszki” Wieniedikta Jerofiejewa podobne przeświadczenia brzmiały tak (w przekładzie Andrzeja Drawicza): „Sposobu oczyszczania polityry nie będę wam przypominać, bo zna go każde dziecko. W Rosji nikt dłaczegoś nie zna przyczyny śmierci Puszkina, natomiast sekret oczyszczania polityry znają wszyscy”. Nie ukrywam, że wersja rosyjska – nie tylko dlatego, że wcześniejsza – podoba mi się bardziej, zwłaszcza w oryginale, w którym mowa jest – jeśli dobrze pamiętam – nie o denaturacie, nie o polityrze, a o zwieroboju.

Głowacki przez lata przyzwyczaił nas, że swoim niepowtarzalnym poczuciem humoru potrafi zrównoważyć nawet swoje najbardziej ryzykowne pomysły. Któż nie pamięta, jeśli nie z opowiadania, to z filmu Wajdy „Polowanie na muchy”, brawurowej sceny, w której synek bohatera opowiada o tym, jak dziadzius pierdnięciem uratował Armię Andersa. No, był w tym cały beznadziejny antypatriotyzm tzw. szkoły polskiej, ale można było tę scenę odebrać jako parodystyczną, a wreszcie była nieodparcie śmieszna, a śmiech jak nic innego potrafi rozładować nawet najbardziej stężoną atmosferę. W „Bezsensności w czasie karnawału” nie jest już śmiesznie, wręcz przeciwnie. Bo jakoś dziwnie nie śmieszą kpinki z prezydenta (nie tego, którego popierał), przetykane po raz tysięczny cytowanym Himilsbachem, a na koniec opis snu z jakże wdzięcznymi dwuwierszami: „Dziś są Żydów imieniny, niech się palą skurwysyny!”, „Jarosław, Polskę



zbaw!”, „Cała Polska śpiewa z nami, wypierdalać z uchodźcami!”, „Żydzi, zwróćcie pieniądze za gaz!”.

I już nie umiem po tej książce pisać o Głowie jak kiedyś, z ogromną przyjemnością i podziwem, czasem chyba bezkrytycznie, ale to był w naszej warszawskiej rzeczywistości ktoś wyjątkowy. Dlatego dalej przykro mi słuchać – a i czasem czytać – o jego nie za pięknych czynach. I dlatego też nie piszę o nich, na koniec raz jeszcze oddając głos samemu pisarzowi, który w 2007 r. wydany przez Świat Książki tom swoich sztuk poprzedził wstępem zatytułowanym „Ściągawka”, z takim oto finałem: „[...] chciałem zwrócić uwagę, że zebrane tu sztuki są całkiem dobrze rozumiane i grane w kilkudziesięciu krajach. Także w tych, w których nie zawsze cała widownia ma pewność, gdzie leży kraj nasz. Można więc odnieść wrażenie, że ja niekoniecznie piszę tylko i wyłącznie na przykład o Polakach, Rosjanach czy Portorykańczykach, ale trochę bardziej ogólnie, o ludziach. A Warszawa, Moskwa czy Nowy Jork to tylko dekoracje, między którymi ktoś sobie chodzi”.

ŁASKA PAWŁA HERTZA

W Wikipedii, w poświęconym Pawłowi Hertzowi haśle, przeczytać można krzywdzącą go opinię Mariana Brandysa z 1978 r.: „Im się pozwala na mówienie takich rzeczy, jakich nie ścierpiałoby się od rdzennego polskiego oenerowca, bo nie traktuje się tego na serio. Ale już najwyższy czas, by to traktowanie zmienić, bo Krzeczkowski [Henryk – przyp. K.M.] i Hertz stali się najbardziej zdecydowanymi wrogami i paszkwilantami demokratycznej opozycji”. Skąd ta hunwejbńska wypowiedź, wzmocniona sądem Andrzeja Kijowskiego o Hertzu – „wytwornym piękniśiu i snobie”? Z bardzo krytycznego stosunku do KOR, w którym z miejsca dostrzegł chęć do podporządkowania sobie opozycji wszelkiej maści. Wcześniej dystansował się od takich działań, jak List otwarty do Partii Kuronia i Modzelewskiego: „Rewizjonizm dość mnie odpychał, był postawą uczuciową, która wystawiała może najlepsze świadectwo poszczególnym osobom. Wychodziłem z założenia, że gesty w kraju podbitym są stratą sił. Zwłaszcza że były to gesty w obronie środowiska wyobcowanego z ogółu narodowego”.

■ Nie przeceniał marca 1968 r., do czego może – zastanawiał się – „przyczyniło się także to, że nigdy nie ukrywałem żydowskiego pochodzenia mojej rodziny. Nie zmieniałem nazwiska rodzowego i nie miałem kompleksu antysemickiego, rozumiałem bowiem i rozumiem, że w swojej grzeszności i ułomności jedni ludzie nie zawsze miłują drugich”. Range powstania Solidarności docenił, ale nie pchał się do rozmaitych komitetów eksperckich i ciał porozumiewawczych, jako że zawsze bliżej mu było do „spokojnej i rozumnej mniejszości”.

Lewica laicka go nie znosiła, jak utrzymywał, jeszcze od czasów przedwojennych, kiedy to – opowiadał – „na prośbę współpracownika redakcji »Buntu Młodych«, Pawła Zdziechowskiego, którego nie pamiętam już, jak i kiedy poznałem, i z którym kilkakrotnie rozmawiałem, napisałem, jak tego chciał mój rozmówca, co myślę o modnej wtedy tak zwanej poezji proletariackiej. Nie były to myśli pochlebne, nade wszystko jedno zdanie, że rzecz bardziej nadaje się dla prokuratora niż dla krytyka literackiego, wywołało oburzenie. Sprawę trzeba traktować we właściwych proporcjach małego i zamkniętego środowiska. Naruszyłem jednak tabu tego środowiska, musiały więc spaść na mnie sankcje. Antoni Słonimski udzielił mi złośliwej nagany w jednej ze swoich kronik w »Wiadomościach Literackich«, a wielu tak zwanych intelektualistów lewicowych nie odklaniało mi się na ulicy – jako zwykle najmłodszy kłaniałem się pierwszy. Byłem niezależny, nie miało to więc większego dla mnie znaczenia. Myślę, że w znacznym stopniu rozdrażniło tych ludzi, że podobne poglądy wypowiedział ktoś, kto w ich mniemaniu powinien ze względu na swoje

pochodzenie być lewicowy, postępowy, awangardowy i tak dalej. A tu tymczasem wszystko było przeciwnie”.

W dzienniku publikowanym w 1982 r., w „Zeszytach Literackich”, zapisał, że najważniejszym momentem jego życia był chrzest, który „może nie tyle mnie zmienił, ile ustawił na zawsze poczucie ciągłego długu wobec Boga, ludzi i samego siebie”. A w wywiadzie rzece z Barbarą N. Łopieńską, 15 lat później, wskazał na trzech księży: Janusza Pasierba, Wiesława Niewęłowskiego i Jacka Salija, których – powiadał – „przyjaźń, dobroć i wyrozumiałość sprawiły, że łaska nawrócenia, która spadła na mnie w pewnej chwili mojego życia, stała się radością w jej ziemskim, bezpośrednim wymiarze [...]”.

RECEPTA WŁODZIMIERZA ODOJEWSKIEGO

Z całą pewnością Włodzimierz Odojewski był pisarzem poważnym. Jego przeciwnicy utrzymywali, że pozbawiony był poczucia humoru. Mogę zaświadczyć, że to nieprawda, ale w tym, co pisał, trudno było doszukać się choćby nuty przekory. Owszem, bywał – i to często – liryczny, niekiedy – patetyczny, nader często – dramatyczny, a bywało – na co wskazywała Magdalena Rabizo-Birek – że elegijny. Ale nie szyderczy, a i nie groteskowy. Pytany o tę ostatnią pisarz mówił: „Nigdy nie czułem pociągu do groteski. Nigdy też nie miałem pokusy pisanania pod [Witkacego, Mrożka, Gombrowicza – przyp. K.M.]. W Polsce co trzeci piszący pisze dziś pod Gombrowicza. Okropność! Byłem zawsze za zapisem świata takiego, jakim jest. Jest dostatecznie ciemny i niezgłębiony. Nie trzeba go jeszcze deformować i uduziwniać”.

Osobiście o hekatombę wołyńską pisarz, jako się rzekło, tylko się otarł. Jego późniejsze książki, a także liczne wypowiedzi publicystyczne sprawiły jednak, że uchodzić zaczął za specjalistę od stosunków polsko-ukraińskich, do tego mocno niepoprawnego. W 2001 r. w wywiadzie, który z nim przeprowadziłem, mówił, że Ukraińcy, a szczególnie ukraińska diaspora w Ameryce, wciąż hołdują „ideom, nad którymi ciąży cień Dymitra Doncowa, teoretyka nacjonalizmu ukraińskiego, groźnej odmiany faszyzmu. Współpraca z nazistowskimi Niemcami w dorznięciu kresowych Żydów w la-



RYŚ. 12 KREDEK/JAN

tach 1941–1942, wyczyny hajdamackie wiejskich band nacjonalistycznych wśród ludności polskiej w następnych latach, a później zbrodnicze działania UPA, wszystko to jest coraz bardziej, w miarę jak czas zaciera kontury pewnych wydarzeń, przystrajane w szatki dumnej i szlachetnej walki wyzwolenczej. Oczywiście, to była walka wyzwolencza, ale... jakimi metodami i za jaką cenę prowadzona! Duża część mniejszości ukraińskiej zamieszkałej w Polsce, w każdym razie jej inteligencji, każdego, kto tylko głosi trochę inne niż ona poglądy na temat tego, co na Wołyniu i Podolu zdarzyło się w latach 1939–1945, a nawet do 1947 roku, nazywa »ukrainożercą«.

Ten pisarz jednej fabuły – jak czasem był nazywany – wychodził niekiedy poza swoją kresową krainę, choć też nie do końca. Tak właśnie się stało w „Oksanie” – zasadniczo traktującej o wojnie na Bałkanach, ale we wspomnieniach bohatera korespondującej z obrazami zbrodni, dokonany wcześniej na pograniczu polsko-ukraińskim.

Martyrologia był stale obecna w jego prozie. Uważał, że obowiązkiem polskiego pisarza jest nieunikanie takich tematów. Wręcz odwrotnie: „...nasza smutna historia odbijająca się w literaturze to jest to właśnie, co odróżnia literaturę polską od innych. Według recepty – opowiadał – jaką zalecałem kolegom w latach sześćdziesiątych, żeby ująć łapom cenzury: On, Ona, ten trzeci i Szczekający Pies, powstaje corocznie wiele setek książek na całym świecie, ludzie kupują je, wybierając się w podróż, czytają na letnisku, czasem do poduszki. To jednak nie literatura, to tylko książki”.

Krzysztof Masłoń

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO